

Moje syberyjskie wędrowanie

Z błędnego snu w środku nocy wyrwała mnie „prowadnica” wagonu. W okamgnieniu dotarło do mnie, że już powinniśmy wysiadać, pociąg transsyberyjskiej za kilka minut na chwilę zatrzyma na stacji Utulik. W pośpiechu narzuciliśmy byle co na siebie i z całym bagażem zgromadziliśmy się przy wejściu. Opóźnienie pociągu nie pozwoliło sprawdzenia naszego położenia na trasie zgodnie z rozkładem jazdy.

Zatrzymujemy się. Nic nie widać. Żadnej latarni. Prowadnica energicznie pogania nas do wyjścia. Dość sprawnie z wielkimi plecakami i ciągle o coś zawadzającymi kijkami narciarskimi wydostajemy się na peron, Ciemno, nie ma żadnego napisu z nazwą stacji. Prowadnica zatrzasnęła od razu za nami drzwi wagonu.

Pytamy ludzi, którzy wyszli z sąsiedniego wagonu.

- Jaka to stacja ? Utulik ?

- Nie, to dopiero Bajkalsk !

Walimy w rozpacz drzwi wagonu.

Prowadnica jednak otwiera.

- To dopiero Bajkalsk ! - w naszych głosach jest już desperacja.

Odpowiedzią są zatrzaśnięte drzwi. Pociąg kolei transsyberyjskiej nie może jednak czekać na grupkę zagubionych turystów. Witajcie na Syberii!!!

Ale to był tylko taki jeden niesympatyczny moment w czasie naszej syberyjskiej. Na każdym kroku spotykaliśmy się z sympatią ludności, zainteresowaniem, życzliwą informacją, z zaproszeniami na szklaneczkę wódki i herbaty z konfiturami. W Mangutaju nad Bajkałem, gdy czekaliśmy przy szosie, pobliski gospodarz poczęstował nas wiaderkiem truskawek.

Sami Sybiracy mówią, że za Uralem rozpoczyna się inna Rosja, nie taka, którą kojarzymy z mafią, czepiającą się pozwoleń milicją, wszechobecną korupcją, z haraczownikami. Tylko raz zainteresował się nami milicjant. Było to na stacji Mysowaja. I tylko doradził nam, byśmy uważali na złodziei. No może jeszcze taksówkarze w Sliudance, gdy tylko dowiedzieli się, że jesteśmy obcokrajowcami usiłowali kilkakrotnie podnieść standardowe ceny, ale tacy są taksówkarze prawie na całym świecie.

Dla przybysza obecna Syberia wydaje się ostoją dobrych, komunistycznych czasów. Nadal wszystkie place, ulice, szkoły zachowały swoje nazwy, pomniki Lenina mają się nieźle, w Ułan Ude wielką osobliwością jest pomnik Lenina z wielką głową, wysoką na sześć metrów. Sami mieszkańcy z rozgoryczeniem mówią o trudnej sytuacji ekonomicznej, obwiniają obecne władze za jakikolwiek brak programu gospodarczego dla Syberii. System socjalistyczny

zapewniał im jakąś ochronę, a teraz żyją w przeświadczeniu pozostawieniu na pastwę losu.

Jednak w każdym mieście na Syberii spotykaliśmy się ze zjawiskiem typowym dla całej Rosji. To kultura jazdy samochodowej. Praktycznie jej nie ma. Pieszy na jezdni nie ma prawa istnieć. Nawet na pasach trzeba szybko przebiegać, na zmniejszenie prędkości przez kierowców nie ma co liczyć.

Ślady Polaków spotykaliśmy na każdym kroku. W muzeum geologicznym w Ułan Ude jeden z dyrektorów przedstawił się.

- Jestem Wierniuk, mam w sobie polską krew, moi pradziadowie byli zesańcami.

Z kolei były fotoreporter gazety fabrycznej, W.I. Żygałow, właściciel muzeum mineralogicznego „Samocwiety Bajkała” w Sliudiance na południowym brzegu Bajkału, powitał nas słowami:

- Polacy niezwykle zasłużyli się dla Syberii. Szczególnie w eksploracji geologicznej naszego regionu.

Niewątpliwie najbardziej znanym polskim badaczem Syberii był zesłaniec Jan Czerski, powstaniec styczniowy (1845 – 1892), którego imieniem Wszechzwiązkowe Towarzystwo Geograficzne w 1927 roku nadało nazwę wielkiemu pasmu górskiemu, położonemu między Indygirką i dolnym biegiem rzeki Jany. Podczas swojej ostatniej wyprawy Jan Czerski badał środkową partię tych gór.

Władysław Obruczew, słynny rosyjski geolog i geograf, wniosek Towarzystwa określił następująco: „Jego pomnik ma tysiąc sześćset kilometrów długości, trzysta szerokości i sięga 3000 m wysokości. Powierzchnia jego jest większa od Kaukazu, a wysokość przekracza góry północnej Syberii”.

Imieniem Czerskiego nazwano także dwa szczyty (w Górach Bajkalskich i w Chamar Daban), wygasły wulkan w Dolinie Tunkińskiej oraz pasmo i dolinę w Sajanach.

Jan Czerski prowadził badania geologiczne, między innymi szczegółowe badania gór wokółbajkalskich. Zajmował się też czwartorzędowymi i współczesnymi ssakami, dorywczo także archeologią. Zastąpił nie tylko jako geomorfolog i geolog, ale także jako wybitny osteolog*, autor siedmiuset stronicowej rozprawy, wydanej w 1891 roku: „Opis kolekcji potrzeciorzędowych ssaków zebranych przez Wyprawę Nowosyberyjską w latach 1885 – 1886”. W pracy zawarta była między innymi analiza szczątków psa niżnieudińskiego, nosorożca tybańskiego i fauny Jaskini Bałagańskiej. Było to jedno z największych osiągnięć naukowych drugiej połowy dziewiętnastego wieku.

Niemniej znanym badaczem był Aleksander Czekanowski (1833 – 1876), geolog i geograf, który za udział w powstaniu styczniowym został zesłany na Syberię, gdzie prowadził obserwacje meteorologiczne i badania w dziedzinie

orografii oraz tektoniki pasm górskich zachodniego Zabajkala. Zgromadził także olbrzymie zbiory przyrodnicze. Odbił również wyprawy w dorzecze Amuru i do pn.-wsch. Syberii.

Polacy, zesłani na Syberię już od czasów Konfederacji Barskiej, a nawet wcześniej z okresu panowania króla Stanisława Leszczyńskiego wnieśli duży wkład w poznanie i rozwój tego regionu, nadali kulturze syberyjskiej pewne, często drobne, nie dające się uchwycić cechy.

Polski pisarz Wacław Sieroszewski w swojej książce „Na daleki Wschód” pisał:

„W Tomsku, Tobolsku oraz całym szeregu innych miast syberyjskich widać na cmentarzach lasy wysokich polskich krzyżów... Ślady rodaków znajdowałem niespodziewanie na najodleglejszych krańcach ziemi, nad brzegami Oceanu Lodowatego, gdzie nazwa „bielak” (Polak) oznaczała jednocześnie majstra, uczonego człowieka, co wszystko „może i umie”...

- Polak jesteś, a leczyć nie umiesz – wymawiał mi ślepy starzec w ujściach Jany, gdym mu odmówił porady lekarskiej, tłumacząc się niewiedzą”

Te polskie reminiscencje cały czas pojawiały się podczas naszej podróży. Gdy podczas jazdy pociągiem z Irkucka do Sliudianki, obstąpili nas miejscowe dzieci, sprzedając tanio wędzone bajkalskie omule, bardzo smaczne ryby z rodziny łososiowatych, przypomniałem sobie, że podobne wspomnienia mieli polscy podróżnicy w końcu osiemnastego wieku.

Karol Lubicz-Chojecki w książce „Pamięć dzieł polskich, Podróż y niepomysłny sukces Polaków” wydanej w Warszawie w 1789 roku opisywał swoje wrażenia:

„Z Wierchoturja do Tiumenia 45 mil... Gdybyśmy przedtem słyszeli o Syberji, inaczej niż o niej sądziliśmy, gdyż rozumieliśmy, że to kraj pusty i bardzo mało mieszkańców mający, lecz gdy tam przyjechaliśmy, zobaczyliśmy wielką wszystkiego obfitość, i widzieliśmy wsie dość piękne i gęste, jechaliśmy słobodami dosyć bogatemi, i niedługo jadąc, przy pogodnej chwili do Tiumenia miasta przybyliśmy. Miasto Tiumeń daleko większe i wspanialsze, niż Wierchoturja, niemniej w handle większe i kupców sławniejsze, a co się tyczy żywności, daleko większy dostatek znajdowaliśmy, Ryb i mięsa niełatwowierna taniość, kiedy karasiów kopę po kopiejce jednej, to jest groszy polskich dwa płaciliśmy, mięso także funt po równej cenie i taniej dostać było można, a co należy do leguminów i nabiałów, te nadzwyczajną taniością kupowaliśmy. Baran kosztował 20 groszy.”

Naszą wędrówkę w góry Chamar Daban rozpoczęliśmy z przemysłowego miasteczka Sliudianka, zwanego mineralną perłą Bajkału, położonego na 5317-tym kilometrze kolei transsyberyjskiej. Okolice Sliudianki obfituje w bogate, różnorodne unikalne złoża mineralne, większa rozpiętość minerałów znajduje się w Rosji jedynie na Uralu i Półwyspie Kolskim. Nazwa osady pochodzi od

nazwy rzeki, nad którą w osiemnastym wieku odkryto pokłady miki (ros. *sliudamika*). Przez wiele lat Sliudanka była jednym z najważniejszych ośrodków wydobywania miki w b. ZSSR. Na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku nastąpił spadek zainteresowania tym surowcem i produkcję przerwano. W prywatnym muzeum mineralogicznym, prowadzonym przez Walerego Aleksiejewicza Żigałowa, zapoznaliśmy się z wielką kolekcją minerałów, liczącą prawie dziewięć tysięcy eksponatów.

O wielkim paśmie górskim Chamar Daban, położonym wzdłuż południowych i południowo-wschodnich brzegów Bajkału, mało kto słyszał w Polsce. Góry te rozciągają się od doliny Irkutu i masywu Wielkiego Sajanu z Munku-Sardykiem na zachodzie do dolnego biegu rzeki Selengi na wschodzie na długości ok. 420 kilometrów, szerokie są na ok. 40 – 80 kilometrów. Średnia wysokość gór wynosi 1500 – 1800 metrów. Najwyższy szczyt Chan Uła liczy sobie 2371 m n.p.m. Budowa geologiczna gór jest zróżnicowana – zbudowane są z łupków metamorficznych, gnejsów, bazaltów, ale także z wapieni i piaskowców. Klimat jest tu kontynentalny – dobowe i roczne wahania temperatury są duże. W styczniu dzienne temperatury wynoszą -13° - -22°C , bywają dni, że mrozy przekraczają -50°C .

Lato jest w miarę chłodne – w dzień średnia temperatura to 18° - 20°C , nocą spada do 6°C . Sierpień jest najcieplejszym miesiącem roku w tym rejonie, co jest typowe dla klimatu kontynentalnego. Stoki gór pokrywa tajga, górne piętro lasu sięga 1600-1700 m, wyżej rośnie karłowata limba, przypominająca naszą kosodrzewinę.

Wędrówanie po tych górach wymaga dużego doświadczenia turystycznego. Do tej pory nie wybudowano jakiegokolwiek infrastruktury turystycznej, nie ma znakowanych szlaków, ścieżki są często bardzo niewyraźne albo nie ma ich wcale, ruchu turystycznego, poza rejonami szczytów Czerskiego i Porożystego, właściwie nie ma, Góry są praktycznie bezludne i turysta musi być zdany na własne siły. Jedyna dostępna mapa jest w skali 1 do 200.000. W Sliudiance znajduje się punkt konsultacyjny Południowobajkalskiej Służby Ratownictwa Górskiego, gdzie można zasięgnąć informacji o wędrówaniu w górach.

Wyruszyliśmy obciążeni ciężkimi, dwudziestokilogramowymi plecakami, biorąc ze sobą prowiant specjalnie przygotowany jeszcze w Polsce, na całe dwa tygodnie. Dobrze, że można w tych górach gotować na ognisku, przez co nie trzeba było dźwigać paliwa do kuchenek turystycznych, choć mieliśmy je na wszelki wypadek.

Obawialiśmy się wszędobylskich i dokuczliwych słynnych meszek i komarów syberyjskich. Na meszki mieliśmy polski patent – olejek waniliowy w dużych ilościach, na komary repelenty i moskitiery. Na szczęście w tym rejonie było stosunkowo mało tych owadów, poza tym byliśmy w sierpniu, kiedy

populacja tych owadów jest już znacznie przetrzebiona jest przez ptaki i opady deszczu.

Bardzo szybko okazało się, że nie meszki i komary, ale częste przeprawy przez rwące potoki i strumienie były prawdziwą zmorą naszego marszu w góry. Na początku ambitnie skakaliśmy z kamienia na kamień, pragnąc suchą nogą przejść przez rozlane potoki, ale po kilku godzinach marszu wszyscy mieliśmy mokro w butach. Po prostu jednym z atrybutów wędrówki w tajdze są przemoczone buty i z tym niestety trzeba się pogodzić. Mokra przeprawa przez potoki łagodziły częściowo upał, jaki nam dokuczał drugiego dnia na podejściu z ciężkimi plecakami. Czasami korzystaliśmy z prowizorycznych mostków, choć gdy już mieliśmy wszyscy mokre buty, przeprawialiśmy się przez potoki nie zważając na udogodnienia. Bardzo przydatne okazały się kijki narciarskie, dzięki którym nie wywracaliśmy się na oślizgłych kamieniach. Buty suszyliśmy do późna w nocy przy ognisku, by następnego dnia...

Na przełęczy w grzbiecie wododziałowym rzek Sliudianki i Podkomarnej natknęliśmy na jeszcze widoczną w błocie i soczystej zieleni kamienistą ścieżkę, stary herbaciany i pocztowy Kiachtiński Trakt, wiodący z Irkucka na południe do Mongolii i Chin, ułożony i wykuty w skale jeszcze rękami katorżników. Tu spotkaliśmy kilka grup rosyjskich turystów.

Patrzyliśmy na nich z niekłamanym podziwem. Zarówno chłopcy jak i dziewczęta nieśli ciężkie 40 – 50 kilogramowe plecaki. Oprócz żywności i sprzętu biwakowego targali w przepastnych worach złożone gondole wielkich, dmuchanych katamaranów. Z ciężkimi, niewygodnymi do noszenia ładunkami przedzierali się przez wiele dni głębokie doliny i wysokie pasma górskie, by po przejściu kilkudziesięciu kilometrów spłynąć rwącymi rzekami, spływającymi do Bajkału. Spływ bystrymi, groźnymi rzekami Utulik, Śnieżną czy Chara Murin jest prawdziwą wodną przygodą, dostarcza niezwykłych przeżyć i należy do klasycznego kanonu wyzwań wodniaków z całej Rosji.

W czasie wędrówki po syberyjskich górach, należy liczyć się z licznymi niespodziankami. Załamania pogody, połączone z długimi, ulewnymi opadami deszczu zdarzają się latem często, rzeki i potoki przybierają bardzo gwałtownie, stan wody i bystry prąd uniemożliwiają przeprawę. Gdy poziom wody sięga powyżej kolan, przejście może być bardzo niebezpieczne. Na przełęczy Czarcie Wrota spotkaliśmy grupę niemieckich turystów. Zawracali, nie dali rady sforsować rzeki Utulik.

W kotlinie pod szczytem Czerskiego (2090 m) złapało nas czterodniowe załamanie pogody. Cierpliwie, susząc przemoczone rzeczy przy ognisku, czekaliśmy na poprawę pogody wśród niskich krzewów różanecznika złocistego. (Jest to płożąca się, wiecznie zielona krzewinka o skórzastych liściach i żółtych kwiatach. Dopiero po powrocie do domu, czytając mądre książki, dowiedziałem się, że przebywaliśmy w tundrze rododendronowej, nazywanej *kaszkarą*.) W

przerwach między opadami dokuczliwego deszczu penetrowaliśmy zbocza górskie. Pod nami było piętro limbowej, ciemnej tajgi, z drzewostanami świerka i wysmukłej jodły syberyjskiej. Powyżej lasu tajga ustępowała gęstym zaroślom karłowatej limby, która jest formacją bardzo podobną do naszej kosodrzewiny tatrzańskiej. Zarośla limby karłowatej osiągają wysokość od pół do czterech metrów i są uważane za bardziej niedostępne od naszej kosodrzewiny, pomimo tego, że tamtejsze gałązki i igły są znacznie cieńsze i delikatniejsze.

W miarę wysokości kosówka stawała się coraz rzadsza i roślinność nabierała charakteru łąk alpejskich. Najwyższe piętro gór zajmowała tundra wysokogórska, składająca się przede wszystkim z porostów, mchów, dębika ośmiopłatkowego, karłowatej płożącej się wierzby i brzozy karłowatej.

Gdy poprawiła się pogoda, weszliśmy nad ranem na wierzchołek Piku Czerskiego. Pięliśmy się w górę po kamiennych rumowiskach, zwanych tutaj kurumami.

Widok z wierzchołka nas zachwycił. Na północy błyszczała w słońcu wielka, błękitna tafla jeziora Bajkał, otoczonego ze wszystkich stron stromymi brzegami. Na zachodzie wyróżniały się zamglone zarysy Sajanów Wschodnich. Mieliśmy wreszcie okazję zapoznać się z charakterem Chamar Dabanu, ze szczytu widoczne były ciągnące się po horyzont liczne grzbiety górskie. Łagodny kształt szczytów, pokrytych zieloną, tundrową roślinnością przypominał bardzo nasze Tatry Zachodnie, choć niektóre ostańce i strome granie, opadające do kotłów ze stawami górskimi miały i charakter Tatr Wysokich. Chamar Daban i Tatry mają podobne wysokości, no, może Tatry są ciut wyższe.

Z Czarcich Wrót poszliśmy granią między dolinami Utuliku i rzeki Bezimiennej poprzez Pik Czekanowskiego (2002 m) w stronę Piku Mangutaj (1852 m). Był to niezapomniany marsz w podniebnej scenerii. Pod naszymi stopami tysiąc metrów niżej kłębiła się w głębokiej dolinie rwąca rzeka Utulik. Widoki na otaczające nas morze gór były imponujące. Pogoda była przepiękna, a mgły poranne, od czasu do czasu pełzające w dolinach, dodawały scenerii dodatkowej przestrzeni. Po szerokiej grani szliśmy po sprężynujących wręcz puszystych mszach, porostach, skalnicach i chrobotkach, wśród kobierców białych goryczek.

Obawialiśmy się przedzierania przez zwarte łany kosodrzewiny, ale na szczęście prawie zawsze znajdowaliśmy dogodne przesmyki. I to nie kosówka zwalniała nasze tempo marszu. Naszą prędkość osłabiały jagody i borówki, których obfitość znajdowaliśmy po drodze. Nie mogliśmy się oprzeć, bez przerwy podskubywaliśmy bardzo słodkie czarne jagody (*borówki czernice*) i o cierpkim smaku czerwone borówki (*borówki brusznice*). Dożywialiśmy się też bardzo smacznymi nasionami z szyszek kosodrzewiny i limby. Robienie zdjęć też nie sprzyjało naszej prędkości. Rozległa górską panoramą, kwiaty w górskiej scenerii: goździki, orliki syberyjskie, dębiki ośmiopłatkowe, goryczki, świat

porostów z mięzystym chrobotkiem i niezwykle mech o oryginalnej nazwie, wzorzec geograficzny – wszystko to warte było fotografowania, ale też zajmowało sporo czasu.

W południe upał stawał się nie do zniesienia. Na otwartej grani byliśmy jak na patelni. W dodatku szliśmy bardzo rzadko uczęszczaną granią. Na Piku Czekanowskiego w puszcze szczytowej ostatni wpis miał datę sprzed miesiąca, poprzedni był równo rok temu. By ominąć strome ostańce na grani, trawersowaliśmy po nagrzanym, stromym, osuwającym się skalnym rumowisku i w końcu zagubiliśmy się wśród jałowców, limb i morza kosówki. Ponowne przedzieranie się na grań w dusznej spiekocie, pozbawiło nas zupełnie sił i bardzo nas odwodniło. Dobrze, że poniżej grani znajdowaliśmy źródła i strumyki, bo inaczej szybko musielibyśmy zrezygnować z dalszego marszu.

Chłodne wieczory przy ognisku, były ulgą po całodziennym spiekocie. Wokół było dużo wysuszonych gałęzi jałowca i kosówki. Mogliśmy palić ognisko dowoli. Do późna księżycowej nocy siedzieliśmy przy ogniu i gapiąc się na jezioro Bajkał, chęptaliśmy orzeźwiająca herbatę z miętowymi liśćmi. Sam nie wiem, ile kociołków z herbatą ugotowaliśmy podczas biwaków na grani.

Przyszedł w końcu czas na zejście z grani. Zeszliśmy w stronę jeziora Bajkał do górnego kotła doliny Wielkiego Mangutaja. Podczas zejścia stromym, trawiasto-kamienistym zboczem, natknęliśmy się podciętą ścianę doliny. Po krótkich poszukiwaniach, zsuwając się trawiastym żlebem, dotarliśmy do granicy lasu,

Znaleźliśmy się w nieprzebytym, mrocznym lesie, po pułapem gęstych koron świerków, jodeł i limb. W tym lesie chyba nigdy nie było człowieka i na pewno nigdy nie był tknięty siekierą drwala. Od razu zwróciliśmy uwagę na charakterystyczną roślinę wyścielającą dno lasu i tworzącą rozległe płyty na stromych zboczach ponad lasem. To bergenia grubolistna o dużych mięsistych i błyszczących liściach. Gałęzie wielkich limb obwieszane były, niczym włosami, włostkami - nitkowatymi porostami, plechami, o kilkumetrowej długości. Przejście przez tajgę dało nam nieźle w kość. Był to stromy, gęsty las, pełen wykrotów, kamieni, połamanych, nastermanych drzew, gęstych krzewów, wielkich paproci, nasiąkniętych wodą gąbczastych mchów. Przez zarośnięte łopianami i malinami malutkie polanki przechodziliśmy po świeżo „wywalcowanych” przez niedźwiedzia korytarzach, co i tak niezwyklej przeprawie dodawało nadspodziewanej adrenaliny. Pocięliśmy się tylko świadomością, że niedźwiedzie o tej porze roku mają wystarczającą ilość pożywienia i przez to są stosunkowo mało niebezpieczne. Pod wykrotami drzew znajdowaliśmy świeżo wykopane wielkie jamy, to misie, w większości przypadków skutecznie, dobierały się do nor gryzoni i nornic. Niespodzianką były napotkane po drodze krzaki czerwonej i czarnej porzeczki, rozsiane z pewnością poprzez odchody wszędobylskich niedźwiedzi.

W miarę obniżania się, zmieniał się charakter tajgi. Szliśmy przez obszary porośnięte brzezunami, z dodatkiem osiki, jarzębiny, limby i świerka. Dokuczliwe były wysokie zielska pokrzyw, pokrzywy te szczęśliwie nie parzyły zbyt mocno.

Sforsowaliśmy nad ranem szeroki bród rzeki Bezimiennej i po kilku godzinach marszu doszliśmy do brzegu jeziora Bajkał w miejscowości Mangutaj. Pojechaliśmy stamtąd do Ułan Ude, do Iwołgińskiego Dacanu, także w rejon Piku Porożystego i na wyspę Olchon, ale to już będzie kolejna opowieść.

Michał Kochańczyk

** Osteologia – nauka o kośćcu, dział anatomii,*